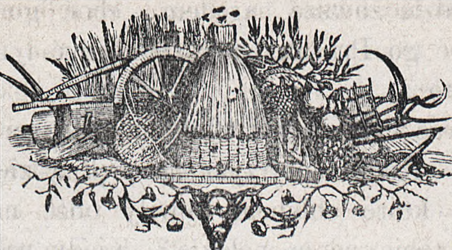
Tom XV.  Nr. 16.

1. grudnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Serce polskie.

Miłość ojczyzny jest najpiękniejszem uczuciem, które Bóg wlał w serce człowieka. Każdy też człowiek zacny powinien żywić i szanować to święte uczucie, bo ono jest źródłem cnót obywatelskich, ono łączy ludzi w narody i narody te prowadzi drogą, którą im przekazała Opatrzność Boża.

Czyż może być świętsze uczucie nad miłość ojczyzny, która każe nam kochać i bronić tej ziemi, na której Bóg osadził nasze plemię, która każe nam lgnąć do tych pól, na których tyle krwi przelali nasi dziadowie w obronie wiary świętej i ojczyzny, która każe nam czcić i naśladować tych sławnych mężów, co cnotami i zasługami swemi zyskali sobie wieczną pamięć i sławę?...

Serce polskie odznaczało się po wiek wieków miłością ojczyzny. Znani są Polacy w całym świecie z swego przywiązania do ziemi rodzinnej, dla której tyle cierpieli, za którą tyle walczyli. Wypędzani z własnej ziemi, jak to na przykład dzieje się dotychczas pod panowaniem moskiewskiem, szli na wygnanie, ale choć stracili ojczyznę, nie osłabła ale wzrosła jeszcze w nich miłość do niej.

Serce polskie dopóki bić będzie, nie przestanie miłować ziemi swojej. Dopóki w tem serce żyje wiara i miłość, dopóki naród polski będzie zawsze narodem, choć go Moskal dręczy i ćwiartuje, choć go Prusak chce zniemczyć i urobić na swoje szwabskie kopyto.

Każdy z was czuł nieraz, jak mu się serce polskie odezwało w piersi. Kiedy spojrzysz na piękną ziemię naszą, na te łany bogate, które chlebem żywiły obce narody, czy nie odezwie się w tobie serce polskie? Kiedy usłyszysz piosnkę polską, narodową, czy nie zatętni ci w piersi żywiej serce polskie? Kiedy jesteś w obcym kraju, daleko od swoich i nie słyszysz mowy ojczystej, czy nie zatęschni i nie zaboli cię serce polskie?...

Słowa te płyną mi z duszy i serca mego, które jest także polskie i miłuje ojczyznę pierwszą po Bogu. A przyszły mi one z serca na usta dlatego, bo sobie przypominam jedno piękne prawdziwe zdarzenie, które mi opowiadał jeden dawny wojak polski, staruszek siwy jak gołąb, co przez całe życie prawie walczył za ojczyznę i pozostał jej wiernym aż do grobowej deski.

Zdarzenie to opowiem wam tak, jak mi je opowiadał ów staruszek. Najlepiej ono świadczy, co to jest serce polskie i jak się ono odzywa w piersi Polaka.

Wiecie że w piętnaście lat po wojnach pana naczelnika Kościuszki i po ostatnim upadku Polski, ustanowił był cesarz francuzki Napoleon księstwo warszawskie, które złożone było z jednego kawałka dawnego królestwa polskiego. Ale w tem księztwie warszawskiem było jeszcze wojsko austrjackie i trzeba było dopiero zająć ziemię tę orężem. Wkroczył tedy do owego księstwa warszawskiego książę Józef Poniatowski z wojskiem polskiem.

Wielka była uciecha w kraju na widok polskich wojaków. Wszędzie ich witano radością i weselem. Ale najpiękniejszy wypadek stał się pod Lubartowem.

Na polu pod Lubartowem orało kilkadziesiąt pługów, a przy każdym pługu byli wieśniacy tamtejsi. Kiedy tak orają ziemię, słyszą nagle muzykę i patrzą, a tu maszeruje drogą wojsko

polskie, a na przedzie książę Józef w stroju ułańskim, z polskiem kaskiem na głowie i w ułańskiej kurtce.

Stanęli chłopkowie na polu przy pługach i patrzą. Wszak to nie nowina była dla nich, widzieć w owym czasie żołnierzy rozmaitych! Sunęli się tamtędy do niedawna to Prusacy to Moskale. Ale teraz ujrzeli wojsko inne, wojsko polskie. Słyszą na polu polską komendę, widzą polskie mundury, i serce zastukało im żywiej w piersi. Aż tu naraz i muzyka odezwała się i zagrała ochoczo marsz Dąbrowskiego:

Jeszcze Polska nie zginęła!

Na dźwięk tej piosenki poruszyło się serce kmiotków pracujących, łzy im się z oczu puściły i już nie mogli wytrzymać na polu. Porzucili nagle pługi, skoczyli na drogę, obmaili się z uciechy zielonemi gałęziami, zmięszali się z szeregami polskich wojaków i dalej z nimi!

Tak szli ci chłopkowie z wojskiem polskiem, idąc za popędem swego serca, i zaszli do Lublina. Piękny też to był widok, kiedy ci poczciwi wieśniacy polscy wraz z żołnierską wiarą wmaszerowali do Lublina, powiewając kapeluszami i zielonemi gałązkami na znak uciechy i radości.

I żaden już wrócić nawet nie chciał do domu! Jeden w drugiego przystał do wojska księcia Józefa, a już tego samego dnia z tych kilkudziesięciu parobczaków zrobiło się kilkudziesięciu ułanów, którzy dzwonili szablami po ulicach lubelskich.

Oto macie piękny przykład, jak to się odzywa nasze serce polskie! Wypadek ten widział na własne oczy ów stary wojak polski, a w Lublinie dotąd każdy ci opowie te prawdziwe zdarzenia o dzielnych kmiotkach lubartowskich.

Spiewka o pomniku w Hodowie,

koło Pomorzan, który stoi w ogrodzie kmiecym.

Gdzie stoi pomnik Hodowski,
Zabit jest pan Zahorowski,
Tęgi wojak, chłopak młody,
Dziwnej krasy i urody.

Choć on w zamku w Pomorzanach
Na dzierżawie tylko siedział,
Jednak każdy o nim wiedział:
Czy panowie na Brzeżanach,

Czy gromada z Bohutyna,
Bo się z każdym bratał miło,
Bo w nim polskie serce biło,
Bo to mina i czupryna!

Wielki rozruch w Pomorzanach,
Głośne szepty, rady ciche,
Coś biegają wieści liche,
O Tatarach, o poganach,
Już z Żabinia od mogiły
Widać w koło dym i pyły.

Pan dzierżawca wszystkim głowa,
Jemu wojna nie nowina,
Więc z mieszczany, z atamany
Więc z parobki co żwawszymi,
Z bracią szlachtą z Bohutyna,
Z polowymi, z gajowymi
Z Rozhodowa i Torhowa,
Rusza śmiało do Hodowa.

Skinął wódz do woli z koni!
Patrzą, mgła się ściele szara,
Kędy tylko wzrok pogoni,
Mgła odziewa wszystkie jary,
Wszystkie wzgórza i obszary,
Mgła ta szara — to Tatary!

Na koń wiara, na Tatara!
Skronie wieńcem nas zażyły,
Każdy duszę poleć Bogu,
Na swym śmieciu, na swym progu!

Damy życie za ojczyznę,
Lecz nie pójdziem na obczyznę,
Ani się nie zbisurmanim,
Może też nas Bóg zachowa,
Bo król ciągnie ode Lwowa!
Tylko wzrącz, co koń ma siły,
Wpaść, nakłuć, nabroić psoty,
Potem do wsi między płoty.
I jako we zbroi pył,
Tak na koniu skoczył w lot,
Rów czy nie rów, płot nie płot,
Sadzi naprzód, wiara z nim!

Dalej w taniec z poganami,
Więc na spisy, więc na szable,
Oj to gody były djable:
Jeden hulał z tysiącami!
A gdy bić zabrakło sił,
Jako wpadli, tak wrócili,
Znów wpadali, znów wracali,
Hodów trupem wymościli.
Tatarowie, straszne mrowie,
Gradem strzały tną pierzyste,
Tak trzy doby w dzień i w nocy,
Gdyby w garnku tam kipiało,
Naszym chłodno, naszym głodno,
Kul i chleba im nie stało!
Spracowani, krwią oblani,
Coraz głodniej, coraz chłodniej,
Ale wszystko w Bożej mocy!

Ratuj milatyński Chryste!
Matko Boska — częstochowska!
Dnia czwartego o świtaniu,
Coś Tatary w zamięszaniu,
Wnet zagrzmiało ciężkie działo:
Król to idzie ku pomocy,
Aż przybyło sił każdemu.

Na koń! huknął Zahorowski,
Jeszcze przy pomocy Boskiej
Tym psubratom łupnia damy,
Króla w polu powitamy.

I wypadli po staremu,
Po staremu się spotkali,
Króla w polu powitali,
Ale wodza im nie stało,
W oczach króla wypadł z siodła,
Strzała naskróś go przebodła.

A ku czci mężnym rodakom,
Na ogrodzie śród Hodowa,

Stoi słup z głazu wyciosan,
I na nim są takie słowa:
Panu Bogu na chwałę,
Na pamiątkę potomnym,
Wrogom na zakałę,
Na przykład Polakom
Postawił mnie król Jan.

J. K. Podolecki.

Bocian wybawcą.

Dwie dawne opowieści.

Miły to ptak, ten bocian! Jest on przyjacielem rolnika, któremu przybyciem swem zwiastuje wiosnę, jest przyjacielem chaty wieśniaczej, na której sobie ściele swe gniazdo, klekocąc wesoło nad strzechą! Żyje też człowiek w zgodzie z bocianem i nigdzie na całym świecie niema zwyczaju, aby strzelano bociany lub aby im psuto gniazda i spędzano ze strzech domowych.

Słusznie ludzie nie prześladują bociana, bo on też ludziom nie szkodzi, jak inne drapieżne ptaki, ale owszem pożytek przynosi, wytępiając gady. Bocian jest także bardzo rozumnym ptakiem a zna się lepiej na drogach niż najlepszy furman krakowski, bo jużci co roku odlatuje na zimę do cieplejszych krajów, na drugą część świata — a przecież nie zbłądzi i nazad do swej strzechy wiejskiej powraca. Opowiadają rozmaite ciekawe historje o tym ptaku — a ja wam tu wypiszę dwa wypadki, w których bocian był wybawcą człowieka.

Było to w roku 1695, a więc już blizko dwieście lat temu. Jakoś w owym czasie była wojna z Turkami i Tatarami, którzy wpadli do Polski i podsunęli się aż pod Lwów. Wybrał się tedy przeciw poganom z wojskiem hetman polski Stanisław Jabłonowski, i tuż przy samem Lwowie pod Zamarstynowem pobił i rozpędził pogaństwo, choć miał trzy razy mniej wojska niż nieprzyjaciel.

Gdy hetman odniósł to świetne zwycięztwo nad poganami, wysłał jednego wojaka nazwiskiem Biesiadeckiego do miasta Buska, aby wojsku polskiemu, co tam także stało, dać o wy-

granej radośną wiadomość i zawieźć rozkaz hetmański, żeby zdążało także do Lwowa.

A niebezpieczne to bardzo było zadanie dla owego gońca Biesiadeckiego, bo musiał się z narażeniem życia przemykać pomiędzy snujących się jeszcze po klęsce Tatarów, których uwijało się jeszcze dużo między Lwowem a Buskiem. Ale dobry żołnierz nic nie pyta, mówi stare przysłowie, więc też i Biesiadecki śmiało się wyprawił w drogę, a po drodze wstąpił do Milatyna i dziękował Bogu w kościele tamtejszym, słynnym łaskami, że go dotąd ustrzegł od przypadku i prosił o opiekę w dalszej podróży. Tak ujechał już całą drogę bezpiecznie i już miał pół mili tylko do Buska, kiedy mu wypadła droga przez gęsty i duży las.

Kiedy się Biesiadecki zapuścił w ten las, aż tu naraz usłyszał okrzyk dziki i z gąszcza rzuciło się nań kilku Tatarów, którzy w tym lesie byli się ukryli. Biesiadecki jako tęgi wojownik polski nie stracił ducha, ale dobył szabli i rzucił się na pogan broniąc się mężnie i walecznie. Jakoż przy pomocy Bożej nietylko że się obronił ale nawet Tatarów odgonił od siebie, gdy naraz na ich krzyk zbiegło się jeszcze więcej tych pogan i obstąpiło go do koła.

Ciężka to była chwila dla Biesiadeckiego, ale nie stracił odwagi. Wezwał w pomoc cudownego Pana Jezusa Milatyńskiego, oddał się jego opiece i począł się oganiać pogaństwu do upadłego.

Otoż zdarzyło się, że przy tej leśnej drodze stał dąb a na tym dębie miał bocian swe gniazdo. Kiedy więc zaczęły brzękać pałasze i Tatarzy krzyczeć poczęli dzikim głosem — bocian siedzący na gnieździe przestraszył się i zdziwił, i nagle z całej mocy zaklekotał. Ten nagły klekot bociana tak zastraszył Tatarów, bo się nie połapali co to jest, że przerażeni i dziwną trwogą przejęci przestali napastować Biesiadeckiego i co tchu zmyknęli. Tym to sposobem wyratował ów bocian życie Biesiadeckiemu!

Na pamiątkę tego cudownego przypadku wystawiono na drodze leśnej pomnik kamienny, a gdy się ten pomnik rozwalił, to na jego miejscu wzniesiono wielki krzyż drewniany,

Krzyż ten stoi do dziś dnia, a koło tego krzyża stoi też i ów dąb spruchniały, na którym siedział bocian. Na tym dębie do tego czasu jest gniazdo bocianie i ciągle się tam jakiś bocian gnieździ. Cały ten wypadek opisany jest w kościelnych papierach w Busku.

Druga historja stała się w kraju czeskim. Żył tam za dawnych czasów jeden bogaty bardzo pan, hrabia Dobrzeński, który miał syna. Do dworu tego hrabskiego zalatywał często młody bocian, który tak się przywiązał do ludzi, że nawet mu dano osobne imię Janiczek, a gdy go kto po tem imieniu zawołał, to biegł lub leciał do niego jak pies. Młody hrabia Dobrzeński osobliwie lubił tego bociana, i zawiesił mu nawet na szyi wstążkę niebieską, aby go odróżnić od innych.

Bocian ten, Janiczek, odlatywał wraz z innemi bocianami pod zimę do ciepłych krajów, ale pod wiosnę wróciwszy, zaraz przylatywał do dworu i witał się tam radośnem klekotaniem z ludźmi, jakby z dobrymi przyjaciołmi.

Otoż zdarzyło się, że poganie wpadli byli do Czech, bo było to w owych czasach, kiedy Tatarzy i Turcy co roku prawie wyprawiali się na ochrzczoną ziemię, to do Węgier, do Polski, to do Czech lub do austrjackich Niemiec. Czeskie rycerstwo rozpoczęło walkę z poganami a młody hrabia Dobrzeński chwycił także za szablę i poszedł na wojaczkę, aby bronić wiary świętej i ziemi ojczystej. W jednej bitwie młody Dobrzeński został ranny i wzięli go Tatarzy do niewoli. Pognali biedaka Tatarzy do swej ziemi w jasyr. Okuli go w kajdany i w kraju swym kazali mu pracować ciężko jakby bydlęciu. Jeden starszy tatarski, co miał u swoich stopień księcia i jenerała, czyli jak to się u nich nazywa chana, wziął go do siebie na niewolnika i kazał mu kopać w ogrodzie. Tu młody hrabia Dobrzeński od rana do nocy pracować musiał wśród spieki w ogrodzie, a gdy go kiedy siły opuszczały, to tatarskie sługi kijami go napędzali. Tak w srogiej nędzy żył biedny młodzieniec bez nadziei ratunku. Wprawdzie ojciec jego był bardzo bogaty i byłby go wykupił za drogie pieniądze z niewoli, ale jak tu dać znać rodzicom do kraju, kiedy tak

daleko był od ojczyzny, a nie było żadnego sposobu ani listu napisać ani przez kogo przekazać do rodzinnej ziemi.

Nieraz się zalewał gorzkiemi łzami Dobrzeński i prosił Boga, aby śmierć zesłał na niego i wybawił go z rąk okrutnych pogan, z nędzy i utrapienia wielkiego. Pewnego razu, a było to właśnie wtedy, kiedy u nas i w Czechach jest już wiosna, pracował młody Dobrzeński w ogrodzie w śród ogromnej spieki, bo w tym czasie w pogańskich ziemiach jest skwar i gorąco. Zmęczył się był okrutnie, opuścił rydel i płacząc rzewnie rzucił się na ziemię i wołał:

— O Boże wszechmocny, wybaw mnie z tej niewoli, albo daj mi umrzeć, aby cierpienia moje koniec wzięły!

Kiedy tak młody Dobrzeński rozpacza, ujrzał nagle nad sobą wysoko stado bocianów, co właśnie lecieli z gorących krajów ku północy. Na ich widok jeszcze go bardziej serce zabolało i zawołał:

— O wy ptaki wolne i szczęśliwe, wy lecicie może do mojej ojczyzny, do Czech, może będziecie nawet w wiosce mego ojca, o gdybyście mi powiedzieć mogli, co robią moi rodzice drodzy, co się dzieje na miłej ziemi mojej!

I przypomniał mu się ów bocian ułaskawiony, Janiczek, którego tak lubił, i który przylatywał zawsze do dworu jego ojca. I popatrzył biedny niewolnik do góry, klasnął w dłonie i zawołał:

— Janiczek! Janiczek!

I o dziwo! — patrzy, a tu na to wołanie jeden bocian spuszcza się z góry i leci wprost do niego i staje przed nim z radośnym klekotem. Dobrzeński ogląda go, a bocian śmiało przystępuje do niego. Wtedy Dobrzeński poznał że to właśnie ów bocian ułaskawiony, ów Janiczek, który miał swe gniazdo przy dworze jego ojca; miał bowiem nawet jeszcze na szyi tę wstążkę niebieską, którą mu młody Dobrzeński w domu zawiesił.

Na widok tego bociana radość wstąpiła w serce niewolnika, począł płakać z rozczulenia i całować bociana. Gdy się już opamiętał, rzekł sam do siebie:

— Kto wie, może mi go Bóg zsełał na ratunek! Bocian ten wraca na wiosnę do Czech, do dworu mego ojca! Gdyby to można jakim sposobem dać przez niego wiadomość do rodziny!

I począł myśleć nad tem! Bóg mu zesłał myśl dobrą! Dobrzeński zdarł z zielonego pręta łyko i twardym cierniem napisał na nim:

— „Drogi ojcze! Jestem w niewoli u Chana tatarskiego, który chce za mnie okupu. Dobrzeński.“

Potem zdjął wstążkę bocianowi — a natomiast przewiązał mu przez szyję to łyczko cierniem zapisane. Jeszcze przez chwilę bocian był przy Dobrzeńskim, a potem zaklekotawszy odleciał.

Smutno się zrobiło znowu młodemu niewolnikowi. Cierpiał dalej nędzę i męczarnie — i tak minęło kilka miesięcy. Gdy sobie wspomniał na bociana, myślał:

— Kto wie czy nie zgubił po drodze tego łyczka, lub czy nie zdechł!

Tymczasem inaczej się stało. Oto ojciec biednego Dobrzeńskiego siedział był właśnie jednego dnia tej wiosny na ganku przed dworem, gdy naraz nadleciał jakiś bocian. Starzec poznał w nim Janiczka i zawołał ze łzami:

— Janiczku, Janiczku! tyś poleciał i wróciłeś znowu, a mój syn jedyny, jak poszedł tak nie wrócił!...

Wtem bocian zleciał na ziemię przed gankiem i począł sobie chodzić koło starca, który tak mówił:

— Niema mego syna, Janiczku, niema komu bawić się z tobą i pieścić!

Nagle dojrzał stary hrabia, że bocian niema na szyi wstążki niebieskiej jeno jakieś łyko. Ciekawością zdjęty zerwał to łyczko z szyi bociana i począł oglądać. Jakąż uciechą rozradowało się jego serce, kiedy na tym łyczku wyczytał wiadomość o swoim synie! Cudowna to też była wiadomość! Stary niechciał wierzyć oczom swoim, zwołał ludzi i wszyscy nieposiadali się z zdziwienia.

Zaraz na drugi dzień zabrał stary hrabia wszystkie swoje skarby i wybrał się w drogę do kraju tatarskiego. Po długich

przygodach dostał się do owego chana, gdzie był syn jego, i wykupił go z niewoli. Radując się i dziękując Bogu, wrócili obaj do Czech, a odtąd ów bocian Janiczek był im tak miły, jakby był człowiekiem i ich bratem!

Na pamiątkę zaś tego zdarzenia hrabiowie Dobrzeńscy zmienili zaraz swój herb, to jest znak na swej hrabiowskiej pieczęci i pieczętowali się bocianem, aby z dziada na wnuka, z syna na ojca przechodziła pamięć cudownego wypadku. Ja sam jeszcze niedawno widziałem raz tu u nas w Galicji jednego pułkownika z wojska cesarskiego, którego lokaje nosili na guzikach znak bociana. Gdym się ich zapytał, u kogo służą, powiedzieli mi, że ich pan pułkownik nazywa się hrabia Dobrzeński i jest Czech z rodu. Ten pułkownik Dobrzeński był więc może jaki pra-pra-prawnuk owego, co był w niewoli tatarskiej.

Tak to Bóg dobrotliwy używa nieraz bezrozumnych stworzeń, aby były narzędziem łaski jego i zmiłowania!

Wojtek ze Smolnicy.

Morze lodowate.

(Ciąg dalszy.)

W przeszłym numerze opowiadaliśmy wam, co się działo z żeglarzami na morzu lodowatem. Teraz opisujemy wam dalej ich przygody. Gdy ci żeglarze próbowali płynąć dalej, naraz góry lodowe zaczęły się rozłamywać i nowem zagrażać niebezpieczeństwem okrętowi. Te lodowate skały miewają po 50 sążni grubości, a czasem na sto sążni są wysokie i na tyleż sążni sięgają w głąb morza. Ludzie okrętowi ustawiczną mieli robotę z rozbijaniem brył lodowatych, przymarzających do boków statku, lub unoszących go z sobą. Płynąc z takim trudem po morzu zawalonem lodami, dostali się do północnego wybrzeża wyspy zwanej „Nową Ziemią“, położonej na północ Rosji, graniczącej tu z Syberją.

Wyspa ta dotąd jest nie zamieszkana z powodu okrutnego zimna; cała zasypana śniegiem, który tak ustawicznie pada,

że niema tam innych mieszkańców prócz białych niedźwiedzi, fok, lisów i gronostai.

Gronostaj, jest to małe zwierzątko, w zimie białym jak śnieg włosem pokryte, wyjąwszy ogona, który bywa czarny; latem zas białe jego futro zmienia się w brunatno-kasztanowate. Futro gronostaja jest bardzo kosztowne, dawniej używane tylko bywało do podszywania płaszczów królewskich i książęcych, a teraz robią z niego i zarękawki i kołnierze dla kobiet, i widzieć je można u nas w składach kuśnierskich. Dla ozdoby czarne ogonki przyszywają się na tle białego futerka. W północnych krajach, jak np. w Syberji nietylko gronostaje, ale i inne dzikie, w lecie szare zwierzęta na zimę bieleją; zające, których tam wieka jest obfitość, (bo ich ludzie, nie wiedzieć dlaczego nie jedzą, a więc i nie zabijają), są w lecie takie szaraki jak nasze, ale jak tylko śnieg upadnie a mróz ściśnie, to zające stają się białe, jak króliki.

Nazajutrz rozpuścili żagle i popłynęli w stronę, gdzie morze zdawało się rozmarznięte, aż tu nagle ujrzeli przed sobą ogromną równinę lodu. Próbowali płynąć w tę i ową stronę, ale napróżno; nakoniec okręt tak się zaparł pomiędzy lody, że stanął jak obmurowany. Cóż tu było począć? Próbowano lód rozbijać żelaznemi drągami, ale ręce ludzkie temu podołać nie mogły. Na dobitkę powstała straszna zamieć śniegowa i wiatr okrutnie mroźny; że para z ust wypuszczona w powietrzu marzła. Bryły lodu podpłynęły pod przód okrętu i tak go podważyły, że się przechylił, i obawiano się żeby nie zatonął; ale prąd wody napędził z przeciwnej strony inne bryły lodu, więc statek ścisnięty niemi, jak żelaznemi obręczami skrzypiał tylko i trzeszczał grożąc pęknięciem. Załoga była w okrutnym strachu! Ster był strzaskany, żagle poszarpane, okręt przechylony leżał na lodach, wicher wył jak szalony, a góry lodowe rosły i piętrzyły się w około nich coraz wyżej! Wystawcie sobie tylko tych biednych ludzi skostniałych od zimna w obec nieuchronnej prawie śmierci, walczących z niezwyciężonemi żywiołami, a jednak pełnych wiary w pomoc Opatrzności. Wiedzieli oni dobrze, że rozpacz, łzy i narzekanie nic im nie pomogą, i że chcąc się ocalić, trzeba się samym ratować. A więc

dalej w radę i po rozum do głowy, wezwawszy wprzód Boga na pomoc.

— Żebyśmy swoje życie mogli uratować, rzekł im dowódzca okrętu, musimy najprzód wyratować to co zostało na statku, przesiądźmy się więc czem prędzej na łodzie i zabierzmy z sobą proch, kule, broń, parę baryłek wina i pozostałe trzydzieści beczek sucharów, a może się jakoś z tem wszystkiem dostaniemy do lądu.

Ze starych żagli zrobili na lodzie namiot, aby osłonić swoje uratowane skarby od zasp śniegowych, a niedługo potem, okręt pęknięty w kilku miejscach z potrzaskanemi linami, z urwaną kotwicą, ze złamanym masztem, wypchnięty na powierzchnię lodu, obalił się na bok. Nie było czego dłużej czekać w tem miejscu, więc radzi nie radzi musieli na czółnach podpłynąć do wybrzeża Nowej Ziemi, tej bezludnej wyspy, gdzie tylko niedźwiedziska, lisy i gronostaje przemykają po śnieżystych błotach, a wyspa ta należy do Rosji i ma aż 2000 mil kwadratowych rozległości. Na tej wyspie mieszkali przez 10 miesięcy.

Kapitan okrętu i sternik który okrętem kierował, obaj ludzie odważni, roztropni i uczeni, pomyśleli sobie, iż słuszna będzie rzecz, aby inni ludzie, przypadkiem tu zapędzeni, mogli z ich biedy i doświadczenia korzystać. Pomyślawszy to sobie, postanowili wszystko, co im się przytrafiło, spisać i pismo to zostawić na rozbitym okręcie. Opisali więc swoje przygody, jak żyli i co ucierpieli przez dziesięć miesięcy na tej dzikiej wyspie, jak sobie radzili w biedzie, gdzie stoi zbudowana przez nich chata, słowem wszystko, co się nowym jakim rozbitkom przydać mogło. Spisawszy to na dwie ręce, jedno takie pismo wzięli z sobą, a drugie, zamknąwszy szczelnie w blaszaną puszkę zostawili w izbie okrętu który leżał na lodach.

Dopełniwszy tego chrześciańskiego obowiązku miłości bliźniego, względem ludzi nieznanych, zaczęli się sami wybierać w drogę. Dla zabezpieczenia żywności i innych rzeczy od zepsucia i wilgoci, owinęli je w płótno umaczane w dziegciu, a spuściwszy łodzie na wodę dnia 4. czerwca 1597 roku, polecili się Bogu i wypłynęli na morze.

Wyobraźcie sobie tych kilkunastu odważnych ludzi, na wątłych statkach, wśród lata podobnego do naszej bardzo ostrej zimy, z bardzo szczupłym zapasem żywności, na morzu pełnem wielkich brył lodu, to skupiających się w grube warstwy, to rozpryskujących się w różne strony; wyobraźcie sobie ich położenie i obawę na samą myśl, że mają w tym stanie jakie 350 mil drogi do przebycia bez żadnej znikąd pomocy!

Po kilku dniach żeglugi około brzegów Nowej Ziemi, gdyż dla bezpieczeństwa statków musieli się zawsze trzymać blisko lądu, zatrzymani nagle zostali pływającemi bryłami lodu. Nie było innej rady, jak zarzuciwszy kotwice uwiązać statki linami do grubej ławy lodu, czekając aż się morze oczyści.

Gdy nazajutrz ujrzeli znów całe morze pokryte lodem, pomyśleli sobie: że chyba na to przebyli straszną zimę na Nowej ziemi, na to wycierpieli taką nędzę, aby teraz swoje mizerne życie wśród lodów zakończyć. Na domiar boleści, dwaj chorzy towarzysze popadli w wielką niemoc i w kilka godzin oddali Bogu ducha.

Pochowali więc umarłych w śniegu i wypchnęli statki na wodę. We trzy dni potem powstała straszna burza, z deszczem, śniegiem i gradem; statki porwane zostały na pełne morze, załoga zaczęła robić wiosłami, żeby się dostać napowrót do wybrzeża, ale wicher obalił maszt, poszarpał żagle i o mało nie wywrócił łodzi, w którą się dużo wody nalało.

W miarę jak ustawała burza, gęsta mgła spuszczała się nad morze; było prawie ciemno, majtkowie jednej łodzi nie widzieli drugiej; jedni i drudzy myśleli że towarzysze ich w czasie burzy zatonęli.

W tej rozpaczliwej niepewności, Hemskerke kazał na sygnał wystrzelić z armaty, a w kilka chwil, z niewypowiedzianą radością usłyszeli drugi strzał z niewielkiej od siebie odległości i przekonali się, że obie łodzie ocalały. Wszyscy niezmiernie strudzeni, potrzebowali kilka godzin wypoczynku. Zarzuciwszy kotwicę, wywlekli statki na ławę lodu, rozpostarli namiot, postawili jednego majtka na straży, a sami pokładli się, żeby cokolwiek spocząć i siły pokrzepić.

Wypocząwszy nieco, żeglarze obejrzeli łodzie, które w wielu miejscach popękane, znów trzeba było naprawiać; kilku z nich udało się na ląd aby poszukać drzewa na most który burza strzaskała, i znaleźli tam nietylko bal już ociosany, ale i kliny z twardego drzewa przygotowane do rozłupywania kloców, z czego łatwo się mogli domyślić, że tam już jacyś ludzie przed nimi byli. Zabrawszy te skarby, wrócili uradowani do swoich towarzyszy i naprawiwszy łodzie, popłynęli aż do południowego krańca Nowej Ziemi, gdzie poraz pierwszy w czasie swej podróży napotkali ludzi, a jakich ludzi, to wam zaraz opowiem.

Otoż ci ludzie, których żeglarze nasi spotkali w Nowej Ziemi, byli to Samojedy, wędrowni rybacy, którzy w lecie tam się przenoszą dla polowania na lisy i niedźwiedzie.

Samojedy, jak wszystkie ludy północne, są wzrostu małego, skóry żółto-brudnej, nogi mają cienkie i krótkie, głowy wielkie, twarze płaskie i odrażające, oczki małe przymrużone, uszy duże, nosy przypłaszczone z szerokiemi nozdrzami, usta szerokie, zęby małe i czarne; włosy ich twarde, rudawe lub czarne, wiszą około głowy jak wiązki szpagatu; mężczyźni nie noszą ani bród ani wąsów i z tego powodu trudno ich twarze odróżnić od kobiecych, zwłaszcza, że się ubierają prawie jednakowo. Obuwie ich ze skóry renifera zrobione, bardzo jest niezgrabne, mające zamiast podeszwy długą deskę; ta deska podbita jest kawałkiem skóry siercią na zewnątrz, ażeby się w tył nie ześlizgiwali wdrapując się na lodowe i śnieżne góry. Takie obuwie służy im za łyżwy, na których z wielką szybkością puszczają się w pogoń za zwierzętami dzikiemi, które strzałami z łuku ubijają, gdyż użycie broni palnej jest im nie znane. Zimowe ich ubranie składa się z kaftana i spodni ze skóry renifera uszytych, letnią zaś odzież szyją ze skór ptaka zwanego Alką.

Alka jest to ptak wodny, żyjący na morzach północnych oblewających Europę i Amerykę północną; skrzydła ma bardzo krótkie do pływania prędzej niż do lotu sposobne, żywi się rybami i po większej części przebywa na wodzie, pokryty jest pstrokatem, bardzo gęstem i miękkiem pierzem. Z takiej to

ptasiej skórki pierzem okrytej, szyją Samojedki swoje letnie stroje jako i ubranie mężów swoich.

Samojedy nie mają nigdy i nie znają bielizny, brudni też są i cuchną z daleka. Siedzą w chatach okrągłych z kory drzewnej stawianych, a powleczonych z wierzchu, dla ciepła, skórami reniferów. Po ścianach, wewnątrz chaty, rozwieszają mięso zdechłych zwierząt, które albo dostaną od kogo, albo gdzie znajdują na drodze. Jedzą padlinę wszelką z takim apetytem, jak my najświeższe i najlepsze mięso, i tę jedzą jeszcze surowo bez żadnej przyprawy a popijają ciepłą krwią zabitego renifera. Smrodliwe wyziewy napełniają powietrze tych nędznych lepianek, a brud i nieład nikogo tam nie razi, bo człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja, na wszystko zobojętnia, jeżeli ani słowa rozumnego nie usłyszy, ani dobrego przykładu nie zobaczy, któreby go ostrzegły. że tak nie dobrze, nie zdrowo, szkaradnie, i że mogłoby też być inaczej i lepiej. Alboż to i między nami niema takich gospodarzy i gospodyń jak Samojedy i Samojedki? co założywszy ręce, ani wiedzą co się w około nich dzieje, ani słyszą co im ludzie gadają o pracy, porządku i ochędoztwie. Nie dziwmyż się Samojedom że brudni, ale się litujmy nad biedakami, którzy w tak zimnym i pustym kraju nie mogą mieć tych wygód i tej pomocy rąk ludzkich, co my lub inne, oświeceńsze i bogatsze od nas narody.

Cały majątek Samojedów stanowią duże stada reniferów, gdyż te szczególniej zwierzęta zaopatrują wszystkie ich potrzeby. Prócz tego w zimie wychodzą Samojedy z łukami i oszczepami na polowanie, a latem zajmują się rybołowstwem. Mięso i ryby jedzą surowe, zamrożone, i piją jak się rzekło, krew reniferów, a zwyczaj ten ma ich zabezpieczać od panującego w tych stronach szkorbutu.

Biedni ci ludziska, którzy tak nędzne prowadzą życie, są jeszcze pozbawieni światła prawdziwej wiary i pociechy jaka z niej wypływa. Wiedzą oni wprawdzie w jakąś Istotę Najwyższą, niby w Pana Boga, wierzą też w jakiegoś bardzo potężnego djabła, ale ani jednego ani drugiego nie czczą. Mają prócz tego, na podobieństwo dawnych pogan, tak zwanych b o ż k ó w d o m o w y c h, których sobie sami albo z drzewa

wystrugują, albo z kamienia wykują, i które albo w chacie porozstawiają, albo je w kieszeniach przy sobie noszą. W kłopotach domowych i w chorobach idą do tych bożków po radę, a że te drewniane i kamienne figurki nic nie gadają, więc ludziska używają guseł i różnych śmiesznych sposobów, żeby się czegoś niby dowiedzieć. Ułożą sobie np. w głowie, że jeżeli w tej a tej porze spotkają zająca lub lisa, lub zobaczą tyle a tyle ptaków, to im bożek powinien zrobić to, o co go prosili; a jeżeli nie, to nie. Czasem się zdarzy, iż to czego sobie życzyli spełni się przypadkiem a czasem przeciwnie! Jeżeli się spełni, to uszczęśliwiony Samojed smaruje swemu bożkowi gębę śmietaną lub masłem, bije przed nim pokłony i zapala mu świeczkę, a jeżeli przeciwnie, to ciska go w kąt namiotu i okazuje mu swoją najwyższą wzgardę. (D. n.)

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Już długi czas mija, jak Dzwonek drukujemy dla waszej oświaty i zabawy a dotąd jeszcze nie tak dużo naszego ludu wiejskiego, jakby się to godziło, czyta go i zapisuje. Jest chwała Bogu dużo między ludem takich poczciwych gospodarzy, którzy pilnie zapisują Dzwonek i pilnie go czytają, ale więcej jeszcze jest takich, co wolą grosz tracić choćby na gorzałkę a o pożytecznem czytaniu ani wiedzieć nie chcą. Oby i ci raz uznali, że w dzisiejszych czasach trudno i przy roli obejść się bez nauki i pożytecznych książek!

Prosimy was tedy wszystkich, którzy utrzymujecie i czytacie nasz Dzwonek, abyście i drugim waszym znajomym i sąsiadom doradzali to pisemko, które przecież nie wiele kosztuje, bo jeno 2 reńskich na rok, co wychodzi na tyle, jak nie całe dwie szóstki na miesiąc. Gdyby z was każdy, co już czyta Dzwonek, tylko jednego jeszcze namówił do zapisywania tego pisemka, to jużby z tego i dla ludu samego i dla Dzwonka wielki był pożytek, a dla was samych byłaby zasługa.

Aby tym, co jeszcze nie zapisywali Dzwonka zrobić ulżenie, takeśmy postanowili: ***Każdy, co jeszcze Dzwonka nie trzymał, a teraz go sobie zapisze na rok cały, otrzyma za to w dodatku 3 pierwsze tomy Dzwonka za 1 złr., to jest tak, że jak przyszle 3 złr. to i cały rok Dzwonek odbierać będzie i jeszcze trzy pierwsze duże tomy otrzyma.*** To już tak prawie jak za darmo, bo i sam papier więcej kosztuje. Uwiadomcież też o tem Waszych sąsiadów!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.